

równie kształtowanie wiary i życia religijnego przez udział w kulcie, jak też wzrost świadomości liturgicznej i uporządkowanej wiedzy w tej dziedzinie. Mamy zatem do czynienia z realizacją pragnień Ojców ostatniego Soboru.

Myślę, że nie będzie nadużyciem, jeśli synem *Summorum Pontificum* nazwę wspomnianego już kard. Roberta Sarah. Sam nie należy do grona purpuratów, którzy odprawiają Mszę według ksiąg z 1962 roku, ale jego wypowiedzi dowodzą, że ma niezwykle rozwinięty *sensus liturgicus*. Właśnie w czasie rzymskich obchodów X-lecia wydania dokumentu zaświadczył, mówiąc o tych, którzy swą wiarę kształtują zanurzani w tradycyjnej liturgii: „Napełnia ich radość, bo żyją z Chrystusem pośród wyzwań współczesnego świata”. Charakterystyka, na którą publicznie przed *Summorum Pontificum* nie zdobyłby się żaden hierarcha. W trakcie tego samego spotkania kard. Sarah wypowiedział też ważne zdanie, będące jakby posłaniem *ad gentes*, choć było to posłanie do innych katolików: by wyjść ze swych środowisk i ukazywać innym piękno wiary kształtowanej przez starą, ale wciąż ożywiającą Kościół liturgię. ■

### **Ks. Adam Ryński**

Historia fascynowała mnie od najmłodszych lat, gdy słuchałem niekończących się opowieści mojej babci na temat rodzinnych korzeni i naszej przeszłości. Wygrzebywane pamiątki, ukryte w zakamarkach strychów modlitewniki, obrazki pierwszo-

komunijne i w końcu piękno XIX-wiecznego parafialnego kościoła zaczęły we mnie rozbudzać miłość nie tylko do tej historii lokalnej. Rozszerzyła się ona także na historię całego Kościoła, a ściślej rzecz ujmując, na historię liturgii i Mszy świętej.

Jako młody człowiek o Mszy świętej trydenckiej nie wiedziałem zbyt wiele. Wszystko zaczęło się zmieniać w momencie, gdy – będąc klerykiem pelplińskiego seminarium – postanowiłem poszperać w bibliotece i czytelni pośród książek, które wprowadziły mnie w bogactwo tego tematu. Spędzałem wiele godzin na poszukiwaniu odpowiedzi na nurtujące mnie pytania, było ich wtedy rzeczywiście niemało. Po przeczytaniu kilku pozycji zauważyłem, że dopiero teraz zaczynam tak naprawdę rozumieć – dzięki starej Mszy – Mszę świętą po reformie Soboru Watykańskiego II. Rzeczywiście wszystko zaczęło się układać w jedną całość. Gdy jednego roku wróciłem na przerwę wakacyjną do rodzinnej parafii, miałem szczęście porządkować magazyn na plebanii, gdzie odnajdywałem dawne szaty, księgi i paramenty liturgiczne. W końcu też podjąłem decyzję, że spróbuję nauczyć się celebrować Mszę świętą w jej nadzwyczajnej formie. Najpierw jednak chciałem zdobyć solidne podstawy teoretyczne.

Po święceniach kapłańskich zostałem skierowany przez księdza biskupa do pracy w parafii pw. św. Katarzyny Aleksandryjskiej i św. Jana Chrzciciela w Bytowie. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że właśnie w tej parafii – jako jedynej w diecezji – były celebrowane Msze świę-

te trydenckie. Wówczas zaś miałem jedno pragnienie, które powtarzałem sobie często: Boże, pozwól mi odprawić choćby tylko jedną Mszę w tej formie w miejscu, do którego mnie pošlesz... Zacząłem wtedy celebrować Mszę „na sucho”. Biurko, mszał, kielich i rubryki. Tak, krok po kroku, ryt zaczął mnie sam prowadzić. W pewnym momencie uznałem, że jestem już gotowy.

Dodatkowo otrzymałem od Pana cudowny prezent. Spotkałem na swojej drodze ks. Radosława Orlikowskiego – niegdyś wikariusza bytowskiej parafii – dzisiaj proboszcza budowniczego nowej parafii w pobliskim Mądrzechowie – który przede mną celebrował w Bytowie Msze trydenckie. Ksiądz Radosław opowiadał mi o swojej drodze umiłowania liturgii tradycyjnej, o tym, jak przed specjalnie powołaną komisją zdawał egzamin ze znajomości starszej formy Mszy. Wspominał o ks. biskupie Janie Bernardzie Szladze, któremu bliska była tradycyjna liturgia w języku łacińskim, zanim jeszcze pojawiło się motu proprio *Summorum Pontificum*.

W tym roku minęło 10 lat od promulgacji dokumentu *Summorum Pontificum* Papieża Benedykta XVI. Celebrowanie Mszy trydenckich w moim życiu kapłańskim towarzyszy mi już półtora roku. Raz w miesiącu staję przy Ołtarzu Pana, aby wejść w tę niepojętą tajemnicę męki, śmierci i zmartwychwstania Chrystusa. Może to kogoś zdziwić, ale w mojej posłudze kapłańskiej odnajduję wspólny pomost łączący to, co stare, z tym, co nowe. Dzięki

starej Mszy mogłem poznać tak naprawdę, co dzieje się w nowej. Dzięki gestom, rubrykom – jakże precyzyjnym – forma zwyczajna również automatycznie staje się piękna i jasna w swoim przekazie. Dzieje się tak, gdy jej celebrowanie wyrasta z formy wcześniejszej – nadzwyczajnej. Wielu ludzi młodych pragnie ciszy, pragnie tej „inności”, którą rzeczywiście odnajdują w bogactwie skarbu Kościoła, jakim jest Msza trydencka. Dowodem na to była dla mnie IV tegoroczna edycja warsztatów liturgicznych „Ars Celebrandi”, w której po raz pierwszy brałem udział. Niesamowicie wysoka frekwencja ludzi młodych, ich miłość do liturgii i tradycji, niezwykła wiedza dotycząca zagadnień liturgicznych były znakiem charakterystycznym warsztatów. Dla mnie rozprawianie dziś o tym, która forma jest lepsza, nie ma racji bytu. Obie bez wątplenia przynoszą błogosławione owoce dla dusz. Uważam też, że bez odpowiedniej świadomości i gruntownego przygotowania kandydatów do kapłaństwa nie będzie możliwe pełne i prawdziwe odczytanie tego, o co tak bardzo prosił Papież Benedykt XVI w nauczaniu o liturgii.

Minęło już 50 lat od zakończenia Soboru Watykańskiego II. Pragnienie Papieża Benedykta powoli się spełnia. Hermeneutyka ciągłości powoli wypiera bolesne zerwanie z przeszłością, a Sobór mediów zostaje zamieniony na Sobór Ojców. Efekty tragicznego zerwania „zbiera” już od kilkudziesięciu lat Kościół na zachodzie Europy. Jednak owoce hermeneutyki reformy w ciągłości i zaleceń Papieża Benedykta

XVI widać nie tylko w Polsce, ale także tam, gdzie Kościół w ostatnich dekadach umierał, a teraz odżył dzięki wydobywaniu ze skarbca rzeczy i nowych, i starych. ■

---

## **Ks. Jarosław Tomaszewski**

Jeśli sięgam dobrze pamięcią do przeszłości, to mój wzrost duchowy, wspierany udziałem w Mszy Świętej Wszechczasów, rozpoczął się od męczących dyskursów, wątpliwych kwestii i niepokoju. Gdzieś na wysokości roku 2010 przymierzyłem się na polu duszpasterskim do tego, czego od dawna poszukiwałem, czyli początku katechezy dla dorosłych w Płocku. Działania, w całej swej prostej formie, szły dobrze, ludzie odpowiadali chętnie na zaproszenia, aż do chwili, kiedy na jednym ze spotkań pojawili się tak zwani tradycjonaliści. Świętej pamięci ks. Jan Kaczkowski ośmielał się – z właściwym dla siebie, choć dla wielu dokuczliwym, wdziękiem i humorem – nazywać ich „talibami”. Jak zwykle doszło do bezpodstawnego sporu, który kontynuowaliśmy potem z uporem godnym lepszej sprawy, nawet na łamach lokalnej prasy. Obudziło to we mnie wiele sprzeciwów, uprzedzeń i nieufności – dziś, po wielu latach, jesteśmy przyjaciółmi w gronie tych, z którymi przychodziło nam toczyć uprzednio teologiczne i donkiszotowskie zresztą potyczki.

Pierwszy impuls czasem dyktuje warunki postępu. Nigdy nie zbliżyłbym się zapewne do nadzwyczajnej formy rytu rzymskiego, gdyby nie szczerą, kapłańska

przyjaźń z księdzem Marcinem Węclawskim. Od pierwszych lat bycia księdzem w Polsce – ceniąc to sobie nadzwyczaj – brałem regularny udział w kursach formacyjnych organizowanych przez Opus Dei dla kapłanów diecezjalnych. Na jednym z podobnych kursów pierwszy raz spotkałem Marcina. Był ode mnie starszy, miał więcej doświadczenia i znacznie szerszy wówczas ogląd katolickiej panoramy świata. Podczas kursów w Dziele proponowano nam – obok szanowanej tam koncelebry – możliwość sprawowania Mszy świętej indywidualnie. Dobieraliśmy się wówczas po dwóch. Najpierw jeden przewodniczył, a drugi posługiwał, następnie zaś było odwrotnie. Poranki kapłańskich kursów zawsze wypełnione były eucharystycznym duchem, w skupieniu, przygotowaniu i dziękczynieniu, bez pośpiechu. Ale to nie przypadkowy lub tak zwany ślepy los złączył mnie w tych celebracjach o świcie z Marcinem.

Podczas jednego ze spacerów, chyba w drugim dniu pobytu na kursie, rozmawialiśmy w szerszym gronie również o Mszy świętej. Pamiętam, że ks. Marcin powiedział wówczas coś, co na zawsze zapadło mi w sercu: „Nie mam nic przeciwko soborowej reformie liturgii – kontynuował pośród drzew parku swoje przemyslenia proboszcz z Poznania – ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego reformując Mszę świętą, usunięto z rytuału pocałunki. Przecież to jest ludzki, najprostszy wyraz miłości, czułości, bliskości. W zreformowanej po Soborze formie Mszy świętej mogą tylko dwa razy ucałować ołtarz, a w Starej